

Smak chleba - smak życia Władysławy Mocnej

Napisała Dominika Wiśniewska

uczennica klasy drugiej Gimnazjum w Sicienku im. Mikołaja Kopernika

Władysława Mocna – urodzona 10 czerwca 1928 roku we wsi Płoska, gm. Kozaka, woj. tarnopolskie, córka Anieli i Stanisława Wierzbińskich. Miała dwóch młodszych braci. Rodzice prowadzili gospodarstwo rolne. W lutym 1940 roku została z całą wsią wywieziona na Sybir. Po powrocie z zesłania zamieszkała w Wierzchucinku pod Bydgoszczą. W 1948 roku wyszła za mąż za Czesława Mocnego. Ma dwóch synów i córkę, trzynaścioro wnuków i dwanaścioro prawnuków.



Moje refleksje

Moja rodzina z dziada pradziada mieszkała we wsi Kosina, powiat Łańcut. W 1922 roku wyemigrowała na wschód na Kresy, by kupić tam ziemię z parcelacji majątków. Dziadkowie osiedlili się w wiosce Płoska, gm. Kozaka, woj. tarnopolskie.

W 1924 roku moja mama, Aniela Kluz, córka Walentego Kluz i Karoliny Szala wyszła za mojego ojca Stanisława Wierzbińskiego, syna Walentego Wierzbińskiego. Urodziłam się w 1928 roku, dwa lata później na świat przyszedł mój brat Józek, a w 1934 roku – Waluś. Mieliśmy 16 mórg ziemi, ładne gospodarstwo. Rodzice postawili nowy dom i nikt z nas nawet nie pomyślał, że ten dom tak szybko nie będzie już naszym. Tata był sołtysem, ja jako najstarsza często biegałam od domu do domu z różnymi zawiadomieniami. Do dziś pamiętam nazwiska wszystkich mieszkańców, a było tam 60 domostw. Wspólnie pracowaliśmy w gospodarstwie, chodziliśmy do szkoły. Nasza wioska była czysto polska, ale otaczały ją wsie ukraińskie. Żyliśmy w zgodzie ze wszystkimi, nie było większych zatargów. Wszystko zmieniło się w momencie wybuchu wojny. Kiedy 17 września weszli Rosjanie, rozpoczęły się rzezie Ukraińców i grabieże. Mężczyźni tworzyli straż i nocami pilnowali naszego bezpieczeństwa. Po spaleniu Jakubowów, gdzie nie oszczędzono żadnego mieszkańca, nie spaliśmy już w domu. Próbowaliśmy uciekać w stronę Brzeżan, by dostać się do Łańcuta, ale Ukraińcy ze wsi Teofipólka nas nie przepuścili. Powróciliśmy do murowanych domów, by móc się lepiej bronić. Mieliśmy tylko jedną krowę, ale cieszyliśmy się, że żyjemy. Wokół działy się straszne rzeczy. Wszystko zmieniło się 10 lutego 1940 roku, kiedy po raz ostatni spędziliśmy noc w naszej rodzinnej wiosce. Później czekał nas tylko tułaczy los.

Po powrocie z zesłania zamieszkaliśmy w Wierzchucinku, gdzie już był mój ojciec. Jako żołnierz po demobilizacji otrzymał tu gospodarstwo i na nas czekał. Dotarliśmy w maju - ja, mama i brat Józek. Waluś zmarł podczas zesłania. Tu rozpoczął się nowy rozdział życia. Mieliśmy dom, ziemię i straszliwy bagaż doświadczeń, o których nie wolno było mówić.

To był 10 lutego 1940 roku. Głęboka noc. Miałam 12 lat, moi bracia 10 i 5. Wszyscy spaliśmy, gdy nagle obudziło nas walenie kolbami w okna. Słyszeliśmy krzyki i przekleństwa. Tata wstał, ale długo nie otwierał drzwi. Czuliśmy jakieś niebezpieczeństwo. Spodziewaliśmy się, że to Ukraińcy. Widziałam i słyszałam, że palili całe wsie, mordowali w okrutny sposób. Spalili doszczętnie wieś Jakubowce. Zginął tam mój wujek. To było straszne. Po chwili ojciec jednak otworzył drzwi i do izby wpadł ubowiec i dwóch Ukraińców. Postawili tatę pod ścianą z rękoma do góry i zaczęli płądrować mieszkanie. Nic nie znaleźli. Pytali, czy mamy broń. Odczytali rozkaz opuszczenia domu. Mieliśmy dwadzieścia minut na spakowanie, mogliśmy wziąć żywność i odzież. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje, gdzie nas zabiorą? Za co? Czy nasi sąsiedzi z Ploski też w tej chwili przeżywają to samo co my? Mama płakała. Jedzenie wrzucaliśmy do worka. Ubrania zakładaliśmy jedno na drugie. Na dworze był mróz. Zimno. W końcu pozwolono ojcu, by się ubrał i pomógł przy pakowaniu. Jeden z Ukraińców doradził nam, żebyśmy zrobili jak największy zapas żywności. Spakowane rzeczy mieliśmy wynieść przed dom. Przed każdym budynkiem we wsi stały sanie. Byliśmy w szoku. Mieliśmy szczęście. Pozwolono nam wziąć pierzyny, mąkę, jedzenie, którą mieliśmy w domu. Sąsiadów pakowano do sań tak, jak stali - bez niczego. Wokół rozlegał się płacz i krzyki. Mężczyźni rozkazali tacie zabrać też siekiere i piłę.

Wsiedliśmy na sanie, wyjechaliśmy na drogę. Była około czwarta rano, gdy znaleźliśmy się na końcu wioski. Panował straszny ziąb, przenikał nas do szpiku kości, mróz dochodził do minus 30°. Staliśmy około 3-4 godzin, aż zaczęło się rozwidniać. Rano ubowiec rozkazał, by kobiety, ale tylko te z dziećmi, zeszły z sań i weszły do domu, przed którym staliśmy. W pomieszczeniu było troszkę cieplej i nie wiało. Pozostali mężczyźni i kobiety zostali na dworze. Nadal czekaliśmy - aż do późnego popołudnia. Już zaczęło się ściemniać, gdy wyruszyliśmy w stronę stacji

Kozowa - odległej o 6 km. Sanie zajechały przed wagony. Ukraińska policja i ubowcy kazali nam przechodzić do towarowych, obskurnych, śmierdzących i brudnych wagonów. Upychano nas po około 50 osób. Staraliśmy się, aby rodziny były razem. Na środku stał żelazny piecyk. Przy drzwiach znajdowała się wycięta w podłodze dziura, która miała służyć jako ubikacja. Było bardzo zimno, nie było okien. W bydlęcym wagonie zmieściło się nas około 10 rodzin. Po chwili zamknięto drzwi i transport był gotowy do drogi. Mimo to czekaliśmy do wieczora. Wokół szalała zamieć i panował przejmujący mróz. W końcu ruszyliśmy w stronę Tarnopola. Tam już stał rosyjski pociąg podstawiony równolegle do naszego. Przechodziliśmy do niego po rozłożonych deskach. W wagonie przygotowano piętro na rzeczy i miejsce, gdzie można było usiąść. Na środku znowu stał piecyk, a przy nim kilka kawałków drewna i węgla. Z boku przy drzwiach dziura na ubikacje. Okna zabite, ciemno. Ktoś rozpałił w piecyku. Ojciec znalazł schowany świder i wywiercił parę dziur pod sufitem, później powiększono je na malutkie okienko. Widać było troszkę okolice, przez które przejeżdżaliśmy.

Widzieliśmy, z której strony wschodzi słońce. Jechaliśmy na wschód, choć jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy, dokąd. Smród i zapach stęchlizny, sikające dzieci, brak wody doprowadzały do coraz większej rozpacz i bezsilności. Na ścianach gromadził się szron, w wagonie panowała duchota. Najgorsza jednak była niepewność o to, co dalej. 12 lutego minęliśmy Kijów i zdążaliśmy w stronę Moskwy. Ominęliśmy ją. Mężczyźni zaznaczali dni i obserwowali trasę. Jechaliśmy bez wody i jedzenia. Tym, co mieliśmy, dzieliliśmy się solidarnie i oszczędnie. W końcu wjechaliśmy na stację. Był wieczór. Otworzono drzwi i wyznaczono trzech mężczyzn do obsługi wagonów. Jeden nosił wodę, drugi chleb, a trzeci zupę. Nikomu oprócz nich nie wolno było opuścić pociągu. Dostaliśmy nasz pierwszy posiłek. Od tego dnia codziennie dawali nam jedzenie, wcześniej rano lub wieczorem. Zazwyczaj było to wiadro zupy, która miała zapach kapusty albo ryb i 3-4 bochenki chleba. Abyśmy mieli więcej wody, wrzucali śnieg do wagonu. Wciąż jechaliśmy na wschód, teren był coraz bardziej górzysty, zbliżaliśmy się do Uralu. W nocy zauważyliśmy strzelające w górę iskry, wydobywające się jakby z ziemi. Pomyśleliśmy, że to jakieś fabryki. Jednak kobieta smarująca koła pociągu na kolejnej stacji powiedziała, że tu nie ma fabryk, to ziemianki, w których mieszkają ludzie.

Minęliśmy Nowosybirsk. Jechaliśmy w stronę Krasnojarska. Postoje były straszne. Słabsi, chorzy nie mogli znieść tych warunków. Brakowało mleka dla malutkich dzieci. Zimno i brak wody powodowały, że ludzie umierali. Trzeba było ich zostawiać. Tragedia, rozpacz, krzyk, płacz – taka była codzienność. Wszyscy tracili najbliższych. Gdzieś na nieznannej ziemi trzeba było zostawić ich najdroższe ciała. Po 2-tygodniowej podróży zabrakło opału. Musieliśmy błagać strażnika, by pozwolił na postoju dorzucić węgla z innego pociągu, o ile taki stał na torze. Powoli kończyło się jedzenie. Brud i brak wody powodowały, że zaczęło się pojawiać robactwo. Wszy stały się plagą. Zatrzymaliśmy się przed Krasnojarskiem. Tam odpięli kilka wagonów. Ich „pasażerowie” pojechali do kopalni złota. W Krasnojarsku znów odczepiono część wagonów. Ludzi, którzy nimi jechali, wysłali do kołchozów.

Dojechaliśmy do miasta Kansk. Tu nas przeładowano do samochodów i przewieziono do klubu czy świetlicy. Było ciasno, ale ciepło. Wszędzie wszy. Panował okrutny ziąb. Niektórzy podmrażali sobie twarze, ręce, stopy. 12 marca wyjechaliśmy z Kanska. Podjechały odkryte samochody ciężarowe i przewieźli nas do miasta Aban, znowu do jakiejś świetlicy. Dostaliśmy zupeł, chleb, a dzieci po szklance mleka. Następnego dnia saniami podjechali kołchoźnicy. Jechaliśmy z nimi cały dzień, aż dotarliśmy do wioski Bajkał - blisko jeziora o tej samej nazwie. Znajdowała się tam farma świń i pracowały same kobiety, ich mężowie byli w niewoli. Zmarło kolejne dwoje dzieci, ale nie wolno było nam ich pochować. Przyjechały kolejne sanie, ale już nie z kołchozu tylko z „LES-ZAWODU”, czyli fabryki drewna (tartaku). Mówili, że będziemy jechać 50 km i że to będzie ostatnia nasza podróż.

Późnym wieczorem dojechaliśmy do pierwszego baraku. Tu zostawiono 25 rodzin. W następnym baraku kolejne 20 rodzin itd. Baraki były oddalone od siebie o jakieś 20-25km. Pomieszczenia miały 25 m długości. Przy ścianie znajdowały się dwa długie, grube drągi. To było rusztowanie na łóżko. W baraku zauważyliśmy trzy rzędy takich pali. Nigdzie nie znaleźliśmy żadnego materaca ani nawet słomy. Komendant oznajmił, że to teraz nasz dom. Odczytał nasze nazwiska, sprawdził, czy wszyscy są obecni. Po ponad miesięcznej wędrówce w głodzie, chłdzie i w warunkach urągających człowieczeństwu, po chwilach niewyobrażalnego cierpienia, gdy musieliśmy po drodze zostawić swoich zmarłych bliskich, zaczynał się dla nas nowy rozdział. Mieliśmy zmierzyć się z potężną, groźną i mroźną Syberią, o której nie wiedzieliśmy nic.

W naszym baraku oprócz moich rodziców i braci zamieszkali dziadkowie, czyli rodzice mamy i taty, bracia mamy i taty z rodzinami oraz krewni Zielińscy, Miśkiewicz, Skrzypacze, Dziobakowie, Kulbinowie. Nasze nowe miejsce na ziemi nazywało się Poczec-Reczka. Następnego dnia był przeznaczony na zagospodarowanie. Kobiety prały, próbowały pozbyć się robactwa, które było wszędzie. Wszy znajdowaliśmy we włosach, ubraniach, rzeczach, pierzynach. To jest nie do opisanego. Rzeczy bez mydła i innych środków praliśmy w pobliskiej rzeczce. Niedaleko znajdowała się „łaźnia”, czyli wykopana w ziemi ziemianka. Tu paliło się ognisko i grzało kamienie. Raz w tygodniu mogliśmy z niej korzystać. Kąpiel trochę pomagała, zabijała wszy, pchły, bo ubrania zostawiano się w „przedsionku”, gdzie je parowano. W tych samych rzeczach chodziliśmy, spaliśmy i pracowaliśmy. Kawałek materiału można było dostać jedynie po to, by pochować zmarłego. Kolejnego dnia wszystkich dorosłych zabrano do pracy w lesie. Mama wróciła bardzo zmęczona i powiedziała, że nie ma już siły, by pracować przy wyrębie. W nocy majaczyła, miała gorączkę. Okazało się, że jest chora na tyfus. Wycieńczoną kobietę zabrano saniami do Abanu, gdzie leżała do jesieni. Nami opiekowała się babcia.

Mamusia wróciła wycieńczona i słaba, nie miała siły chodzić. Była na tyle silna, by przeżyć, jednak, aby dostać zwykłą kromkę chleba, musiała pracować. Dzielił się jedzeniem. Praca w lesie była bardzo ciężka. Trzeba było ścinać potężne drzewa, piłować, układać na tratwy, które spływały rzeką gdzieś dalej w głąb Rosji. Kiedy zamoczyło się ubranie, nie było jak go wysuszyć, dlatego wielu ludzi chorowało na zapalenie płuc i umierało. W kwietniu zachorował tata. Dostał zwolnienie od felczera. Mieliśmy mniej jedzenia.

We wrześniu zabrano nas, czyli mnie i brata Józka, do szkoły z internatem. Wszyscy tam mówili po rosyjsku. Dostawaliśmy jeść mało, ale regularnie. Za nasz pobyt mieli płacić rodzice, wyrabiać więcej drewna. Nie mogli jednak temu sprostać, byli jak i my słabi, a kiedy nie wykonali normy, nie dostawali chleba. Znowu wróciliśmy do baraku. Bardzo się cieszyliśmy, że możemy być razem. Ojciec pracował w lesie przy budowie baraków, w których później mieszkaliśmy. Póki mieliśmy trochę odzieży z Polski, przychodziły rosyjskie kobiety i za chustę czy szal można było dostać parę ziemniaków lub mleka, ale rzeczy szybko się skończyły. Wiosną bardzo wielu ludzi zaczęło umierać. Dzieci miały takie duże brzuszki, prosiły o jedzenie. Dorośli czuli się bezsilni. Zmarli bracia babci i dwaj wujkowie. Mój brat Józek zachorował na tyfus. Straciliśmy nadzieję, że

przeżyje, ale on dzielnie walczył. Był w Bolnicy oddalonej o 20km, ale mama pieszo go odwiedzała, by być przy dziecku w tych trudnych chwilach. Kiedy wyzdrowiał, radość nie miała końca.

Z biegiem lat zaczęliśmy przyzwyczajać się do warunków, w których przyszło nam żyć. Nauczyliśmy się, co można jeść - jakieś korzonki, dziki czosnek, cebulki. To wszystko było takie dobre! Tatę odesłali do wioski Tary oddalonej o 25km. Pracował przy budowie. Udało mu się zaoszczędzić trochę chleba i „zorganizować” wiadro ziemniaków. Poprosił naczelnika, by pozwolił mu ściągnąć do siebie syna Józka. Brat się ucieszył, ale już po miesiącu zatęsknił za mamą. Matka poszła więc pieszo po niego, za co została zamknięta do więzienia na 2 dni - bez jedzenia, w zupełnych ciemnościach. W styczniu wszyscy dołączyliśmy do ojca, ale nasz najmłodszy braciszek był wycieńczony i słaby. W czerwcu zmarł. Wcześniej umarła też babcia i dziadek. Nie mieliśmy nawet sił, by płakać.

Dopadła nas „kurza ślepotą”. Z chwilą, gdy zaczynało się robić szaro, nic nie widzieliśmy. Pomagała wątroba, ale trudno było ją zdobyć. Czasem udało złapać jakieś małe zwierzątko w sidła, ale polować można było robić po kryjomu. Ryzyko było ogromne. Kiedy u sąsiada znaleziono 3 kg zboża, które gdzieś udało mu się zdobyć, dostał 3 lata więzienia. Nie przeżył. W 1942 roku wydano nam paszporty w języku rosyjskim, niemieckim i angielskim. Za zgodą komendanta mogliśmy szukać pracy dalej. Nie wszyscy jednak mogli się przemieszczać. Był październik. Zimno do minus pięćdziesięciu. Wiosną przenieśliśmy się na stepy do wsi Suchanoj do kołchozu. Ja i brat poszliśmy do pracy. Pasaliśmy stada koni i cieszyliśmy się z dodatkowej porcji chleba. Mama pracowała przy krowach. Ojca w maju 1943 roku powołano do wojska. Został przydzielony do artylerii. Zaświtała nadzieja na powrót do ojczyzny. Do Polski.

Wciąż pracowaliśmy ponad siły, by przetrwać. Dochodziły wieści, że po skończonej wojnie wrócimy do domu. Ta myśl trzymała nas przy życiu. W końcu nadszedł dzień transportu z ZSRR do naszej ziemi. Po 6 latach tułaczki, poniewierki i niewolniczej pracy mieliśmy znowu zacząć żyć. Wracaliśmy i mimo że podróż była uciążliwa, to naszego szczęścia nie byliśmy w stanie wyrazić. Zresztą, wciąż skrywaliśmy je głęboko, bo do końca trudno było uwierzyć, że na powrót poczujemy się ludźmi, że oddana nam będzie nasza godność. Mama była chora, nie chodziła, ale mieliśmy nadzieję, że w Polsce poczuje się lepiej. Raz dziennie na postojach

dostawaliśmy jeść, zupę i kawałek chleba. Nikt nas już nie pilnował. Do Polski dotarliśmy w kwietniu 1946 roku. Nikt nas nie witał. Na stacji był punkt tzw. PUR-u, gdzie należało się zgłosić po informację o swoich bliskich, poprosić o jedzenie. Byliśmy głodni, brudni i biedni.

Mój ojciec w tym czasie osiedlił się w powiecie bydgoskim w Wierzchucinku. Przeszedł cały szlak bojowy od Lenino do Berlina i czekał na nas – repatriantów, czyli Sybiraków, którzy ocaleli i cudem udało im się powrócić do kraju. WRÓCILIŚMY. Na powrót zaczynaliśmy żyć. Znow jak ludzie. Znow z godnością.

Wspomnienia praprababci są jak ciężki bagaż, który będzie nosić do końca życia. Cieszy się, że może teraz swobodnie mówić, pisać, opowiadać o tym, co ją spotkało, ale jej rodzicom nie było to dane. Jest rozgoryczona, gdy wspomina, jak do jej ojca przychodził sąsiad (kolega), też Sybirak, i potrafili czasami przegadać całe noce, opłakując tych, którzy zostali na zawsze na obcej ziemi. Ludziom nie wolno było nawet wspomnieć o tym, że Rosjanie wywieźli ich w głąb Rosji na Syberię, to był temat zakazany. Nawet w najbliższej rodzinie niektórzy powątpiewali w prawdziwość ich przeżyć. Babcia Władzia, bo tak mówię o mojej prababci, jest dla mnie bardzo ważną osobą. To mama mojego dziadka Mietka, który jest tatą mojej mamy. Teraz jest mi jeszcze bliższa. Patrzę na nią inaczej, jej miłość do nas i zachowanie wobec bliźnich jest jak przesłanie, które będę przekazywać dalej.

"Smak chleba, którym się dzielimy, nie ma sobie równych" – te słowa Antoine de Saint-Exupéry najlepiej ilustrują historię mojej rodziny. Kiedy je przeczytałam, poczułam, jak bardzo pasują do opowieści, którą usłyszałam z ust mojej Babci. Babcia Władzia zawsze piecze chleb na święta Bożego Narodzenia, daje go nam ze słowami „BY NIGDY WAM GO NIE ZABRAKŁO”. Wcześniej nie przewidywałam do tych słów żadnej wagi, chleb w domu był zawsze. Teraz te życzenia mają dla mnie zupełnie inny wymiar, zrozumiałam znaczenie tych słów. W rodzinie mojej Babci brakowało chleba, ale nie zabrakło miłości. Ręce jej mamy nie mogły pokroić chleba i obdarować nimi najbliższych. Dawała im jednak „chleb”, który miała w sobie. Dzielili się nim nawzajem każdego dnia. Dzielili się miłością i troską o siebie. To nimi zaspokajali głód. To dzięki tej wielkiej miłości i bliskości udało im się przetrwać czas, w którym kawałek chleba musiał starczyć na długi dzień harówki. Kiedy w mrozie

sztyniały ręce przy pracy w lesie, kiedy nie było czym się okryć, kiedy po ciele chodziły wszy i pluskwy, a głód pochłaniał wszystkie myśli, oni wiedzieli, że mają siebie. Pomimo tych okrutnych doświadczeń i skrajnego wyczerpania fizycznego, moja rodzina była silna i mocna. Wspierali siebie miłością. Bieda uczy pokory - mówi Babcia, która widziała dzieci i dorosłych umierających z głodu. Nigdy nie wyrzuca chleba i szacunku do niego uczyła swoje dzieci. Człowiek jest w stanie przeżyć bardzo wiele i czasem nawet, nie wie do czego jest zdolny.

Podziwiam Babcię Władzię za zaradność, pracowitość, szczerłość, wytrwałość i otwartość. Dzięki Niej wiem, że to nie pieniądze są najważniejsze, ale umiejętność współżycia i dzielenia się z innymi tym, co posiadamy. Byłam wstrząśnięta, gdy słuchałam, jak Prababcia zakładała pułapki, by złapać cokolwiek do jedzenia. Szczytem marzeń były ludzi suszy, które ratowały nie tylko przed głodem, ale i ślepotą. Mówi, że nigdy nie zapomni wyglądu dzieci, których dopadła opuchlizna głodowa, ludzi, którzy błagali przed śmiercią o łyk mleka czy kawałek chleba. Chociaż na Syberii panowała straszliwa bieda, to jednocześnie była solidarność. Wszyscy dzielili się tym, co mieli. Zdobyty kawałek mięsa był gotowany i wszyscy dostawali po garnuszku zupy. Kiedy udało się wykopać parę cebulek jakby tulipanów, gotowano je, opiekano, mieszano z czymś, co przypominało kaszę. Zdobyte jedzenie było rozdzielane sprawiedliwie, zgodnie z niepisanym, ale sumiennie przestrzegany prawem. Chociaż głodni, brudni i obdarci starali się wieczorami rozweselić, rozmawiali, śpiewali i wierzyli, że wrócą. Babcia wie, że nie sposób zapomnieć o tych, którzy na Syberii zostali na zawsze, bo przecież dzielili wspólny los.

Nie mogę zrozumieć, jak można kogoś wyrwać z rodzinnej ziemi bez powodu. Wywieźć na poniewierkę, na niechybną śmierć z głodu i zimna. Trudno mi sobie wyobrazić, by chodzić przez 6 lat w rzeczach, które udało się zabrać z domu. Żyć tam w nędzy i głodzie, a jednocześnie mieć siłę miłości, walki i wiary. Jestem bardzo dumna z Babci, której udało się przetrwać. Dzięki niej poznałam tę niezwykłą historię. Szanuję Ją bardzo. Jest dla mnie wzorem. Jej życie pokazuje, co tak naprawdę jest ważne w życiu. Każdego dnia daje wszystkim swoją miłość. Wychowywała moją mamę, jak ta była mała. Kiedy ja byłam mała, chodziłam do Babci z mamą. Później sama. Babcia Władzia zawsze nas wita z uśmiechem i zawsze ma dla nas czas. Pamięta o naszych uroczystościach. Jest

wyrozumiała. Z Babcią można porozmawiać na każdy temat, chociaż ma 85 lat, czyta też okularów i interesuje się polityką. Gdy słyszy narzekania, powtarza: „Nie jest źle, oby nie było gorzej”.

Babcia przez kilka wieczorów opowiadała swoje przeżycia, mówiła, że tamten czas i ludzi ma wciąż przed oczami. Była spokojna, ale kiedy opowiadała o swoim braciszku, 6-letnim Walusiu, głos Jej się łamał. Ja byłam wzruszona jeszcze bardziej, bo to okrutne, jak synek prosi mamę, by się modliła za niego, bo boi się umrzeć, przecież był grzeczny i chce tylko wrócić do swojego domu i jeść. Płakałam razem z Babcią. Każda śmierć jest straszna, ale widok umierających dzieci, którym rodzice nie mogą pomóc, jest wyjątkowo okropna i bolesna. Babcia Władzia mówi, że nie było rodziny, w której nie umarłoby z głodu dziecko. Niektórym umarły wszystkie. Tam chleb był panem. Chleb decydował o życiu bądź śmierci. Oczami wyobraźni widzę, jak Prababcia wkłada do ust kawałek chleba. Czuje jego cudowny smak. Dla niej to nadzieja na odzyskanie siły, na kolejny dzień życia. Wyobrażam sobie, jak jej mama, czyli moja praprababcia podaje jej taką kromkę. To tak jakby mówiła: „Daję ci kawałek chleba”, bo Twoje życie jest dla mnie cenniejsze niż własne. Bo przecież odejmując sobie od ust kromkę chleba, naraziła się na własne wycieńczenie i śmierć. Została na Syberii wraz z dziadkiem już na zawsze.

Każdy z nas modli się: „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj”. Czy jednak zastanawiamy się nad sensem tych słów w czasach, kiedy pod dostatkiem mamy jedzenia, nie tylko chleba, ale i rozmaitych rarytasów. Często jemy byle jak, w pośpiechu, nie celebруем posiłków, bo szkoda nam na to czasu. A przecież chleb to rodzina, wspólne zasiadanie przy stole, rozmowy i słuchanie siebie. Pogubiliśmy zupełnie ten zwyczaj, a z nim szacunek do jedzenia. Moja Prababcia poznała prawdziwy smak chleba, bo poznała i zrozumiała wartość życia. Pojęła sens tak dziś niezauważanych, wyświechtanych, poniewieranych często wartości jak rodzina i miłość. Prostych, ale największych i najważniejszych. Przechodzimy obok nich obojętnie, bo wydają nam się, że nigdy ich nie zabraknie jak pachnącego chleba na śniadanie. A jeśli go zabraknie? Teraz inaczej patrzę na dłonie mojej prababci, babci i mamy, które trzymają chleb. Wiem, że trzymają w nich wielką i bezwarunkową miłość, która nigdy się nie skończy. Na pewno kiedyś przekażę swoim dzieciom opowieść Prababci, a z nią miłość naszej rodziny.



Prababcia Władysława z rodzicami i bratem, 1948 r.